ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. — Bytom G.-Ś., 24-go Czerwca 1897. — Nr. 25.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Po długiem szukaniu znalazł nakoniec Symachus Rufina, skutego jak inni więźniowie w łańcuchy, odzianego podartą odzieżą i jeszcze przy ciężkiej pracy, pomimo że już był późny wieczór. Nędzny widok nieszczęśliwego wzruszył senatora do głębi duszy. Przystąpiwszy do niego, odezwał się w te słowa:

— Padłeś ofiarą nikczemnego oszczerstwa, szlachetny Rufinie; lecz oto ja przychodzę, przynosząc ci wolność. Nie jest i nie może być prawdą, że zostałeś chrześcianinem; powiedz mi przeto, w której świątyni mam zamówić ofiarę dla nieśmiertelnych bogów a jesteś wolny. Maksencyusz dał mi na to cesarskie słowo.

— Dziękuję ci z całego serca, — odrzekł Rufinus, — że wstawiłeś się za mną u cesarza, lecz jeszcze więcej dziękuję memu Bogu, że mnie nakoniec wyzwolił z błędu i pozwolił mi poznać w Jezusie Chrystusie jedyną prawdę.

— Czyż podobna? — zawołał Symachus zawiedziony w swoich nadziejach. — Nie, nie! Okropne nieszczęście, nagła i krwawa strata wiernej twojej małżonki zaćmiły ci rozum. Otrząśnij się z tych myśli! Rozważ, czy ukrzyżowany przestępca, który ani siebie, ani twojej małżonki od śmierci zachować nie zdołał, może być bogiem?

— Nieszczęście moje, — odpowiedział spokojnie Rufinus, — rozproszyło za pomocą światła Boskiej łaski ciemności, które mnie otaczały. Z radością chcę ponieść najcięższe męki i najokropniejszą śmierć za moją wiarę chrześcijańską. Niech ci Bóg wynagrodzi twoją dobrą wolę względem mnie w ten sposób, żebyś i ty zdołał dojść do poznania prawdy.

Na to Symachus nie odrzekł ani słowa, lecz odwrócił się i odszedł.

Olbrzymi centuryon tymczasem, świadek całej rozmowy, uczuł się słowami Rufina głęboko wzruszony. Gdy senator się nieco oddalił, zapytał się Rufina:

— Powiedz mi, gdzie mogę lepiej poznać nauki twojej wiary?

To pytanie napełniło Rufina nieopisaną pociechą. Męczeństwo było po wszystkie czasy rozsadnikiem chrześcijaństwa.

— Idź drogą apijską — odrzekł, — aż mniej więcej do drugiego kamienia milowego; tam pytaj się o biskupa Milcyadesa; ten nauczy cię wszystkiego, o czem wiedzieć pragniesz. Powiedz mu, że z radością cierpię dla Chrystusa i poleć córkę moję jego ojcowskiej opiece.

Rozmowę tę przerwał dozórca, krzyknąwszy na Rufina, ażeby się znowu wziął do roboty.

Centuryon patrzał chwilę za więźniem i rzekł sam do siebie:

— Czyż podobna, aby się kto wyrzekał godności rzymskiego senatora, wysokiego urzędu prefekta Rzymu, bogactwa i wszelkich rozkoszy życia, i pozwolił się znieważać jak złoczyńcę a nakoniec rzucić się dzikim zwierzętom na pożarcie, gdyby nie był przekonany o prawdziwości wiary chrześciańskiej i gdyby nie miał nadludzkiej siły do zniesienia takich ofiar? Muszę odwiedzić jutro biskupa Milcyadesa.

Między chrześcianami rozszerzyły aresztowania i oskarzenia o spisek trwogę; czyż nie należało się spodziewać, że wrócą czasy Dyoklecyańskich prześladowań? Nie wszyscy chrześcianie niestety byli przejęci taką wielkodusznością i podniosłemi ideami o męczeństwie, jak Walerya, która na widok tortur w zachwyt popadła. Za prześladowania Dyoklecyana odpadło nie mało chrześcian od wiary Chrystusowej, a jeśli już przez to samo matczyne serce Kościoła bardzo zranili, ranę tę jeszcze pogłębili, żądając po ukończeniu prześladowania, ażeby ich do gminy chrześciańskiej przyjęto bez pokuty; byli tacy, którzy to zgoła gwałtem wymusić chcieli. Nie wstydzili się nawet uznać Herakliusza swoim przywódzcą, który nie podczas męczeństwa, lecz podczas spokoju Chrystusa się zaparł.

Biskup Milcyades i jego duchowieństwo uważało sobie za obowiązek święty, wspierać uwięzionych braci, w wierze ich umacniać i stać im na pomocy tak za pomocą Sakramentów, jak i przez różne dowody miłości i przywiązania. Archidyakonowi Sylwestrowi udało się przekupić dozorców, którzy jeszcze tego wieczora do tuliańskiego więzienia go wpuścili. Ku wielkiej pociesze serca swego przekonał się tamże, że wszyscy uwięzieni byli pełni męstwa i stałości, i że raczej mękę i śmierć ponieść, aniżeli Boga się zaprzeć są gotowi.

Po kilku godzinach nadszedł ku ogólnemu zdziwieniu rozkaz cesarza, na mocy którego z więzienia wypuszczeni zostali wszyscy, którzy byli szlacheckiego pochodzenia.

Nikt nie mógł pojąć przyczyny tego rozkazu. Liczba uwięzionych, którzy w więzieniu pozostać musieli, była bardzo znaczna a w ciągu następnego dnia wtrącono jeszcze wielu innych chrześcian do więzienia.

VIII.

Więźniowie.

Z powodu pośpiechu, z jakim Herakliusz listę rzekomych spiskowców układał, dostały się do niej nazwiska, które przy spokojnej rozwadze niezawodnie by był sobie na inną sposobność zachował. To się tyczyło przedewszystkiem Waleryusza Antoniusza, ochmistrza dworu cesarskiego, którego uczciwość i szlachetność niejednokrotnie już jego nieuczciwe plany pokrzyżowała. Tak Herakliusz, jak i sam cesarz wiedzieli, że Waleryusz jest chrześcianinem, lecz mimo to zażywał on zupełnego zaufania swojego władzcy. Aresztowanie tego dostojnika miało mieć dla Herakliusza następstwa nieprzyjemne.

Matka Antoniusza, Surula, była jedną z tych czcigodnych matron rzymskich, których światem jest ciche koło rodzinne i które wśród wnucząt wesołych przeżywają miły wieczór swojego żywota. Uwięzienie syna, porwanego przez oprawców płaczącej małżonce i tulącym się do niego dzieciom, zburzyło nagle szczęście Suruli. Jakkolwiek jako matka chrześciańska byłaby w sobie znalazła siłę, aby przeżyć mękę syna dla Chrystusa, zarzutu jednak wiarołomstwa względem pana i udziału w spisku nie mogła przenieść, ani pozwolić, aby taka hańba przylgnęła do jego pamięci i zawisła na jego dzieciach.

Wziąwszy tedy za rękę dziesięcioletniego wnuka Jazona, śliczne chłopię, udała się do pałacu cesarskiego i prosiła o posłuchanie.

— O władzco! — zawołała, padając przed Maksencyuszem na kolana, — jeżeli syn mój na niełaskę twoją zasłużył, nie wypełniając sumiennie swoich obowiązków, natenczas korzę się w po-

słuszeństwie przed twoim majestatem. Lecz...

— Niełaskę! — przerwał jej Maksencyusz, podnosząc z kolan staruszkę, syn twój posiada moję przychylność, ponieważ go znam jako wiernego i dobrego sługę.

— Dziękuję twojemu majestatowi za to świadectwo, — odpowiedziała matrona, — i ośmielam się powołać na nie w celu obrony przed oskarzeniem, z powodu którego syn mój już jest w więzieniu i w okowach.

— Na Jowisza! — zawołał cesarz, — któż poważył się podnieść rękę na jednego z moich najbliższych urzędników dworskich? I jakąż to zbrodnię mu zarzucają?

— Gdyby chociaż cień podejrzenia na syna mego padał o mniejsze przestępstwo, — mówiła Surula dalej, — sługa twoja nie poważyłaby się stanąć tu przed tobą. Lecz, cesarzu i panie, nikczemnie go oczernia, kto twierdzi, iż syn mój spiskował przeciwko tronowi i życiu swojego monarchy. Nie, to jest oszczerstwem!

Gdy Surula to powiedziała, przypomniał sobie cesarz, że na liście Herakliuszowej było też nazwisko Antoniusza; marszcząc czoło, rzekł:

— Syn twój jest chrześcianinem a skutkiem tego sam się naraził na oskarzenie; jedna żaba skrzeczy tak samo, jak druga.

— Jakże mam mojemu panu i cesarzowi udowodnić, odpowiedziała z westchnieniem matrona, że niesłusznie nas chrześcian podejrzywa? Lecz spojrzyj oto na tego chłopczyka! To mój wnuk; może go sobie przypomnisz, bo bawił on się nieraz z twoim niezapomnianym synkiem, dopóki niezbadane wyroki Nieba nie wydarły ci tego słodkiego skarbu. Na niewinną głowę tego chłopca, na świętą pamięć twojego Romulusa przysięgam ci, że syn mój jest niewinny i nie popełnił zbrodni, którą mu zarzucają.

Maksencyusz spoglądał na chłopca, który z trwogą wielkie czarne oczy swoje wlepił w cesarza a im dłużej cesarz patrzał na delikatną twarzyczkę, rumiane policzki i krucze włosy chłopięcia, tem więcej łagodniał surowy wyraz jego twarzy. Do podniesienia uroku chłopca przyczyniała się praetexta czyli szata z białej wełny i złota bulla czyli kapsułka na szyji, jaką dzieci szlacheckich rodzin nosiły.

Maksencyusz uwielbiał swojego jedynego syna a gdy tenże umarł, czcił go jak boga. Na uczczenie jego pamięci zbudował cyrk przy drodze apijskiej; nowa bazylika na forum miała się zwać bazyliką Romulusa; w pałacu cesarskim pełno było rzeźb i obrazów zmarłego dziecka. A teraz stoi przed nim chłopczyk, który razem z synem jego wzrastał i się chował. Jego Romulus byłby teraz tak piękny i miły, gdyby złowrogie przeznaczenie nie było mu wydarło słodkiego dziecka.

Twarde serce cesarza zmiękło a łza zabłysła mu w oczach.

W tej chwili padła staruszka po raz drugi na kolana a z nią i chłopczyk, który wyciągnął rączki do cesarza i srebrnym głosikiem zawołał:

— Oddaj mi mojego tatę, a będę się gorąco za ciebie modlił.

Cesarz nie mógł opanować wzruszenia. To jakby jego własny syn klęczał przed nim i prosił.

— Słodki chłopczyku, rzekł, ojciec twój wróci. — Oto pierścień, mówił dalej, zwracając się do Suruli, on otworzy mu więzienie. A teraz idźcie, idźcie; nie potrzebujecie mi dziękować.

To powiedziawszy, wyszedł do drugiej komnaty i głęboko wzruszony chodził długi czas w zamyśleniu. Nakoniec stanął przed posągiem marmurowym syna swego, patrzał nań długo, a z oczu spadały mu łzy na policzki.

— O dla czego okrutny los, zawołał, przykładając rękę do czoła wydarł mi tego chłopca? On by był złagodził moje dzikie usposobienie; przez niego byłbym się stał ojcowskim władzcą. W owej godzinie, w której go straciłem, zawisły nad moim duchem owe mroki, których nie rozjaśnią gwiazdy, lecz tylko błyskawice.

W tej chwili oznajmił sługa, że Herakliusz prosi o posłuchanie, aby cesarzowi przedłożyć listę spiskowców, którzy już do więzienia wtrąceni zostali.

Uśmiech słodki znikł z twarzy Herakliusza, gdy Maksencyusz z zasępionym wzrokiem ku niemu przystąpił i ostro zawołał:

— Któż ci pozwolił, nędzniku, sługę domu mego bez mojego pozwolenia wrzucić do więzienia. Na wszystkie bogi! Jak z prochu cię podniosłem, tak mogę cię jak robaka zadepnąć! Daj mi listę!

Cesarz rzucił okiem na długi spis i jego czoło zachmurzało się coraz bardziej.

— Dwóch Waleryuszów, dwóch Korneliuszów, pięciu Anicyuszów, — ten przeklęty Grek, — krzyknął, — dziesiątkuje mi szlachtę rzymską. A gdzież kapłani i dyakoni chrześciańscy, których schwytać przyrzekłeś? Miarkuję już, że lis zmienił swoje włosy, lecz nie skórę. Precz! Natychmiast wypuścisz na wolność wszystkich ze szlachty, a jeżeli do jutrzejszego wieczoru nie odstawisz mi do więzienia przynajmniej archidyakona, który ma kasę, i pół tuzina z innych przełożonych chrześcian, natenczas pokażę przyjaciołom twoim, jak się cesarz obchodzi z parszywym psem.

Herakliusz wyszedł, nie odrzekłszy ani słowa.

— Czyż mi tego dziś rano sam nie nakazał? — zawołał Herakliusz, wyszedłszy do przedsionku. Lecz ja wiem — Symachus, ten nędznik, był u niego i postraszył go z powodu uwięzienia szlachty a teraz cała odpowiedzialność za wszystko ma spaść na mnie.

— Zaledwie po długiem staraniu znalazłem drogę, po której idąc dobrze moję przyszłość zabezpieczam, gdy zawistny los zmusza mnie do kładzenia kamieni, dalszą drogę mi zagradzających. Odnowienie prześladowań chrześciańskich zrywa mi most do Konstantyna, a jednak muszę uczynić podług woli cesarza, nie chcąc, aby jego wściekłość na mnie samego się wylała. — Gdyby mi się udało pochwycić choć jednego kapłana lub też jednego z siedmiu dyakonów biskupa, cesarz zadowoliłby się tem na chwilę. Tak, tak, na Milcyadesa miałbym broń skuteczną w rękach, gdybym zdołał kapłanów jego uwięzić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POGRZEB SŁOWIAŃSKI W DAWNYCH CZASACH.

(Z powieści p. t.: „Stara baśń przez J. I. Kraszewskiego).

W świetlicy na posłaniu swem leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu, o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie. Dano im znać, pobiegł Sambor hukając w umówiony sposób, lecz nim mu na głos jego odpowiedziano, nim nadeszły żona córki, synowie, sługi i wnuki, noc już była w połowie.

Wśród ciszy lasów, zdala ten pochód żałobny słychać było. Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy a puszcza jękiem rozlegała się daleko. Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamanymi, z zamkniętymi powieki. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząca i jakby martwa. Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejął smutkiem i grozą... Mężczyźni wtórowali. Otwarły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na zie-

mię wszystkie i tarzać się zaczęły. Ogień przygasł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Nareszcie Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać. Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone, na polance piasczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znowu bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie; łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia. Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie. U nóg nieboszczyka, na ziemi, siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramienników; siedziała i jęczała po cichu... Dalej płaczki z rozrzuconemi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali na rękach podparci, łzy ocierając pocichu.

— ... Odszedłeś od nas — wołały płaczki — nie ma cię panie... osierociłeś nas biednych... Poszedłeś panie do ojców twoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapragnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały... I miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki. Wiszu, wojaku niezwyciężony, wróg na cię napadł zdradliwie... krew twa pomszczona, zemsta niesyta, z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...



Wiktorya, królowa angielska.

(Obacz artykuł na str. 395.)

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgliszczu stos był gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny. Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty.

Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za niemi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce; cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał. Do zgliszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu nim otoczonem, wśród gęstego boru, który doń obcym bronił przystępu. Miejsce było piasczyste, gdzie niegdzie dziewannami i piołunem białym porosłe. Trochę tra-

wy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły. U wnijścia, na ubitem tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion sosnowych, który cztery grube pale, wbite po rogach podtrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w którem popioły i ofiara obietna mieścić się miała; chleby, kołacze, mięsiwa, piwo i miód, na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem starego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otoczyły Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic — ale wszyscy czuli i widzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama, osierocona, nie zechce na ziemi. Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku, przy nim składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe poukładane jedne na drugich wiodły jakby wschodami do góry, gdzie Wisza trup stał, otoczony orężem i odzieżą. Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie powstrzymując, ale ich odtrąciła zlekka, przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby uszły z drogi, rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce...

Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat, szeroki i śmielszym krokiem wstępować zaczęły po drzewach, coraz wyżej; na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, przy nich nieruchomie została... Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi. Przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos do koła, jakby w szalonych skokach miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnięto razem. Podpalone zaledwie zajęły się nagle, szybko, płomieniem jasnym i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą stanęło jednem ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki. Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębami sinemi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając z pomiędzy kłód, około których się owijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajadłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając chłonąć stos sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota...

Łuczywa już przezeń zjedzone opadły czarnymi drzazgami, grube kłody paliły się całe rubinowemi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagał się i podżegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzali z uroczystem przejęciem i trwogą, Zdawało się im, że ujrzą ze stosu ducha ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odganiać należało złe siły, czarne bogi i czterech parobków na koniach z dzidami w rękach poczęli szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi. Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, w górę podrzucając oszczepy. Stos płonął ciągle. Z za kłębów dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było zczerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień wybuchające od dołu, aż bale od dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozrzarzony, jak jedno płomię ogromne, w którem tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły...

duchy wzleciały, dzieci rzucały jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże, kawałki kruszcu, kamienie... Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i objatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarę. Zarzewie na zgliszczu coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małem ogniskiem, kupą węgli czarnych i popiołu.

Zsuwano głównie, aby dogorywając, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszcze wodą przyniesioną ze świętego zdroju zwolna zalewać zaczęto. Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i pruszyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone szczętów ołamki. I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnicę, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną zebrane stanęły szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnicę pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto sypać ziemię na mogiłę z pośpiechem... Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze — duch uleciał... Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wzniósł nad popiołami Wisza... Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną. Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i z zdala niewiasty.

WIANO KRÓLEWNEJ.

»Głośne po całem mieście nowiny:
Przybyli wielcy panowie;
Po ich odzieży poznać i mowie,
Że z obcej jadą krainy.«

»Stoją na rynku, nieś skorą nogę,
Nieś tę nowinę staroście; —
Jeden do zamku pytał o drogę,
Może do króla to goście?

»Bo zacni jacyś: ten co na przedzie,
Mnogo ma srebra na sobie;
A koń, na którym ten starszy jedzie,
Godzien przy króla stać żłobie.«

Takiemi słowy gwarzą mieszkańce
Budy, Węgierskiej stolicy,
Bieżąc na zamek, kędy wysłańce
Polskiej jechali ziemicy.

Kiedy tak gwarzy ciekawy lud,
Tymczasem zacne te goście
Starą ulicą w królewski gród
Wjeżdżali bramą po moście.

I po stolicy biega nowina:
Księcia polskiego to posły,
Wysłał ich książe, aby dla syna
Oblubienicę przyniosły.

Król Bela zasiadł w złotej stolicy,
Młodziuchny przy nim królewic,
Śliczna królewna w ojca lewicy,
Kinga z orszakiem swych dziewic.

Zasłona z miękich snuła się włosów
Na twarz myślącej dziewicy;
W ręku paciorki miała z kokosów,
Z obrazkiem Boga-Rodzicy.

Weszli posłowie — schyleniem głowy
Oddali pokłon monarsze,
I łacińskiemi przemówił słowy
Poseł, co lica miał starsze.

Król Bela dobrą dał im odprawę,
Tem się nie mało radował,
Że mir z sąsiadem krajowi sławę
I bezpieczeństwo rokował.

Więc do królewnej czoło swe nagnie
I rzecze: »Boska w tem wola;
Bolesław ciebie za żonę pragnie,
Dobra z nim czeka cię dola.

»Liść dziewiczego zamienisz wieńca
Na dyamenty korony;
Poseł namiastkiem dziś nowożeńca,
Z tobą on będzie złączony.

»Zatem wyprawę dłonie niewieście
Niech szyją we dnie i w nocy —
I rzemieślnika, co w mojem mieście,
Przydać ku prędszej pomocy.

»I miła córo, w posagu tobie
Dam srebra siedem tysięcy,
Abyś w przystojnej była ozdobie
W nowej stolicy książęcej.«

Umilkł — i długo milczy królewna,
Zdarzeniem zdziwiona nowem,
Niby chce mówić, niby niepewna,
Jakiem odezwać się słowem.

Utkwiła w niebo ślicznych ócz dwoje,
I mówi; »Stań się twa wola —
Głos Boży płynie w to serce moje
Ustami ojca i króla.

»Więc ja ojcowską szanując wolę,
Pójdę w tę ziemię nieznaną,
Aleć nie srebrem jaśnieć na czole,
Inne przystało mnie wiano.«

I posłów wzywa: »Niechaj ogłoszą
Swojego kraju potrzeby.
Ci mówią: »Srebro — obcy nam noszą
Za nasze miody i chleby; —

»Garniem owoce z sadów i roli,
Ni nam żelaza nie braknie:
Na jednej jeno zbywa nam soli,
Ach soli naród nasz łaknie.«

A Kinga: — »Królu! jeżeli z wianem
Masz twoje wyprawić córę.
Z gór twoich solnych daj jednę górę,
Oddam ją moim poddanym.«

Król rozśmieszony taką przemową
Odpowie: — »Dobrze me dziecię,
Weź sobie górę, weź Stefanową,
W niej soli leży obficie«.

Na to królewna pierścionek zdjąwszy
Daje ten posłu znak niby.
By na Stefana górze stanąwszy,
Pierścionek w dno wpuścił szyby.

Odjechał poseł — nim zaszedł dzionek,
Wypełnił ten rozkaz Pani,
Cechę królewnej, złoty pierścionek,
Wpuścił do solnej otchłani.

Z tem gdy się sprawił, wracał do Budy
Tak myśląc: »Będzie miał król
I koszta wielkie, i wielkie trudy,
Zdala przewozić tę sól.«

Wraz się odbyły zwykłe obrzędy —
A Kinga z dziewic orszakiem,
Na koniu strojnym w bogate rzędy,
Polskim puściła się szlakiem.

Przebywszy wielkie góry i wody,
W mieście Wieliczką nazwanem
Witał się z żoną Bolesław młody,
Kinga z swym mężem i panem.

A odsłoniwszy dłoń z rękawiczki,
Niby szukając pierścionka,
Rzecze: »Tu kopcie w rynku Wieliczki.
Kopcie do zachodu słonka.«

Bolesław lubo nie pojął zrazu
Słów wymówionych znaczenia,
Powtórzył słowa Kingi rozkazu,
I kazał szukać pierścienia.

A lud jął kopać, worów niemało
Ziemi wyciągnął ze studni;
Gdy się motyka otarła z skałą,
I kamień pod nią zadudni.

Po ciężkiej pracy już z głębokości
Wydobyta na wierzch bryła:
»To sól!« wykrzyknął naród z radości:
Bo solna skała to była.

Jeszcze się ludy temu dziwiły,
A Kinga znowu zaleci
Rozbijać bryłę, i oto z bryły
Pierścień świecący wyleci!

A Kinga rzeknie: »Węgierski król
»Srebra i soli jest Panem;
Chciał córę z srebrnem wyprawić wianem
Kinga prosiła o sól.

»Król solną górę dał swojej córze,
Dziś matce chrobrych Polaków;
A Bóg rozkazał tej solnej górze,
By sól przeniosła pod Kraków.

»Składając Bogu dzięki powinne
Naród niech dzisiaj się szczyci:
Solą żywiły go kraje inne,
Dziś solą inne nasyci!«

Adam Gorczyński.

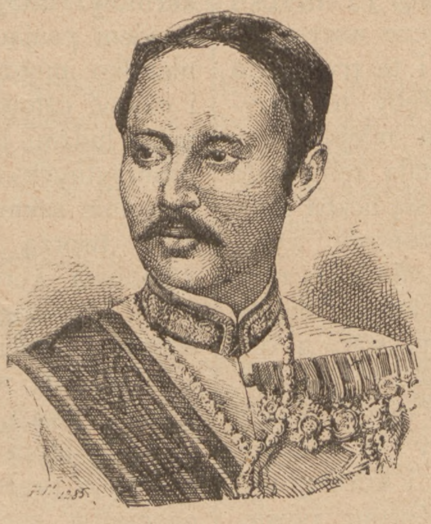
O SIAMIE.

Król siamski Chula-Langkorn wybrał się z ojczyzny w podróż po Europie i odwiedza monarchów. Z tego powodu podajemy w tym numerze »Światła« jego podobiznę, widok pałacu królewskiego w Bankok oraz nieco wiadomości o Siamie.

Siam czyli Thaï, królestwo w Indyach Zagangesowych, graniczy z Chinami, Anamem, Birmą, posiadłościami angielskiemi, oraz morzem Chińskim i odnogą Siamską. Obejmuje 14,535 mil kwadr. i składa się z właściwego Siamu i części Kambodży tudzież z ziem lennych książąt malajskich i Lao. Główną część kraju stanowi kotlina średniej i dolnej rzeki Menam; rzeka Salwen tworzy granicę od strony Birmy. Klimat gorący, łagodzony przez nadmorskie położenie, na pobrzeżach zdrowy, w okolicach bagnistych sprowadza gorączki.

Grunt nadzwyczaj urodzajny obfituje we wszystkie płody strefy podzwrotnikowej. Z kopalń wydobywają złoto, srebro, ołów, miedź, arszenik, żelazo, topazy, granaty, szafiry i t. d.

Narodem panującym są Siamczykowie, w liczbie 3 milionów; wyznają oni religię Buddhy i posiadają bardzo liczne duchowieństwa, zwane Talapoiny. Oprócz tego znajduje się w kraju 3 miliony Laos, milion Chińczyków, przeszło pół miliona Malajczyków na wyspie Molukka i 600,000 mieszkańców Kambodży. Religiję chrześciańską wyznaje kilka tysięcy potomków portugalskich osadników i przeszło 15,000 krajowców, zostających pod zwierzchnictwem wikaryusza apostolskiego. Rząd jest nieograniczenie despotyczny, dziedziczny. Dochody wynoszą około 20 milionów franków, resztę bowiem pochłania przeniewierstwo urzędników. Siła zbrojna składa się z 10,000 wojska stałego, wyćwiczonego przez oficerów angielskich. W razie wojny cała ludność męska obowiązana chwytać za broń. Flota handlowa złożona jest z 76 na sposób europejski zbudowanych okrętów. Stolicą kraju i rezydencyą króla jest Bangkok albo Bankok.



Chula-Langkorn, król siamski.

Dzieje Siamu są obrazem strasznego ucisku i dla tego też nie mają należytego rozwoju. Główniejsze wypadki historyi Siamu są: zaprowadzenie buddhyzmu i wyższej oświaty z Indyi; 1545 wprowadzenie religii chrześciańskiej przez Portugalczyków; około 1626 roku upadek Portugalczyków, spowodowany przez Holendrów; przewaga wpływu francuskiego od 1657; upadek tegoż i wzrost handlu holenderskiego; zdobycie kraju Birmanów w połowie XVIII wieku; wygnanie Birmanów przez Faya-Taka 1767; 1782 założenie nowej dynastyi przez wodza Chakkri, który przeniósł stolicę do Bangkok. Prawnuk tego ostatniego Chrom-Chiat albo Kroma-Mom-Czit, przywłaszczył sobie tron roku 1824; zdobył 1829 Laos. Po jego śmierci (1851) minister jego ogłosił królem Khan-Fa-Mongkuta. Nastąpił po nim brat jego Somet-Fra-Pawarander-Maha-Mongkut, który utrzymywał dalej dobre stosunki z cudzoziemcami i sprzyjał kulturze europejskiej.

Panującym obecnie królem (od 1-go Listopada roku 1868) jest syn poprzedniego Chow-Fa-Chula-Langkorn, który przybrał tytuł Prabat-Somdicz-

Pra-Paramindr-Mocha-Chula-Langkorn-Pantindr-Tepa-Moha-Mongkut. Wstąpił on na tron w 15 roku życia jako najstarszy z 84 dzieci swego ojca.

O ZĘBACH I ICH PIELĘGNOWANIU.

Człowiek ma zębów 32. Są one trojakie: siekacze dłutkowate po 4 w każdej szczęce, zwane także zębami przednimi, kły czyli narożne po 2 z każdej strony i zęby trzonowe po 5 z każdej strony szczęki. Wyrastają one zwolna z pęcherzyka zębowego, tkwiącego w szczęce. Poczynają się wykłuwać od 6-go do 12-go miesiąca życia ludzkiego. W drugim lub 3-cim roku nie posiada człowiek jeszcze wszystkich zębów, ma ich tylko 20 i te trwają do 6 lub 9 roku życia. Zęby te nazywają się mlecznymi. Na miejscu wypadłych mlecznych wyrastają zęby stałe a oprócz tego powiększa się liczba trzonowych. Ostatnie 4 trzonowe wyrastają dopiero w wieku młodzieńczym. Gdy zęby dzieciom odrastają, należy chwiejące się mleczne wyrywać, a odrastające jak najmniej dotykać palcami, gdyż wtedy krzywo rosnąć mogą. Każdy ząb ma korzeń tkwiący w szczęce, szyjkę tkwiącą w dziąśle i koronę wyrastającą nad dziąsło. Korona powleczona jest szkliwem zębowem, twardem i połyskującem, które służy do ochrony miękkiej i łatwo próchniejącej kości zębowej. Pielęgnowanie i zachowanie zębów w dobrym stanie jest z wielorakiego względu bardzo ważnem. Piękne, białe i połyskujące zęby zdobią znacznie człowieka, służą za narzędzia niezbędne do rozdrabiania pokarmów, czyli żucia, winny więc być w stanie należytym zachowane. Zaniedbane bowiem łatwo ulegają próchnieniu, które bywa przyczyną dotkliwego bólu nietylko samych zębów, lecz także sprowadza równie bolesne cierpienia szczęk i twarzy. Szkliwo i dziąsła są główną ochroną zębów; dopóki te są mocne, całe i zdrowe, dopóty i zęby nie ulegają zepsuciu. Chcąc zachować szkliwo od przedwczesnego zużycia lub zniszczenia, nie należy przedewszystkiem gryść zębami twardych przedmiotów n. p. orzechów, pestek, twardych cukierków i t. p., nie używać ich za obcęgi do wyciągania gwoździ, zgięcia lub odgięcia kruszczowych rzeczy, lub za nożyce do odgryzania nitki przy szyciu. Najwięcej szkodzą szkliwu i dziąsłom resztki pokarmów uwięzłe między zębami, te bowiem psując się tam niepostrzeżenie, nietylko mogą wydawać woń odraźliwą i czynić człowieka niemiłym w obcowaniu z ludźmi, lecz są zarazem siedliskiem pasorzytnych zwierzątek i roślin, niszczą powolnie szkliwo i rozmiękczają dziąsła, albo tworzą na powierzchni zębów szkodliwą korę, zwaną winnym kamieniem. Zwierzęta zwykły po każdym jedzeniu czyścić swoje uzębienie lub szczęki, jak mamy tego przykłady na kotach, psach, a przedewszystkiem na ptakach, które dziób swój starannie wycierają o twarde przedmioty, gdy brały chociażby suchy pokarm, nie mogący brudzić ich szczęk. Człowiek często zaniedbuje tę czynność czyszczenia zębów z niedbałości, nie bacząc na to, iż naraża się na złe skutki poprzednio wymienione. Tem troskliwiej pielęgnować należy zęby; ażeby się nie narażać na liczne boleści i cierpienia, z zaniedbania wynikające, należy po każdem jedzeniu, szczególnie przed spoczynkiem nocnym wypłukać usta starannie czystą wodą letnią lub okowitą, do której dodać kilkanaście kropel eteru octowego, zrana zaś codziennie czyścić je niezbyt twardą szczoteczką i miałkim proszkiem węgla drzewnego. Użycie wszelkich proszków białych do czyszczenia zębów jest mniej właściwe, gdyż one zawierają najzwyklej twarde materye ścierające i rozkruszające szkliwo. Nadto należy uni-

kać nagłej zmiany temperatury zębów, i zbytniego gorąca lub zimna, gdyż wtedy zwykle szkliwo pęka. Zwyczaj picia zimnej wody po gorących pokarmach, szczególnie po gorącej kawie, jakoteż jadanie po mocnem rozgrzaniu lodów, jest dla zębów nader szkodliwe. Także mówienie i wciąganie ustami powietrza w czasie wielkich mrozów na wolnem polu, jest dla zębów niekorzystne. Gdy zaś ząb próchnieć zaczyna i dziura w nim się tworzy, należy oprócz utrzymania czystości udać się do dobrego dentysty, który zepsutą część zęba wyczyści i dziurę twardą pastą zapełni, przez co ząb od dalszego psucia uchroni i do zwykłego użytku zdolnym uczyni. Używanie kropli różnych, nie uratuje zęba od dalszego próchnienia, tylko uśmierza niekiedy chwilowo ból, a często przyspiesza jego zniszczenie. Wyrywanie zęba chorego jest najczęściej niewłaściwem, gdyż sprawia ochwianie innych lub uszkadza szczęki.

Wprawianie sztucznych zębów jest z wielu niegodnościami połączone, a jeźli już są, należy je tak utrzymywać jak i naturalne.

Sześćdziesiąt lat na tronie.

W tych dniach obchodziła królowa angielska, której podobiznę w dzisiejszem »Świetle« podajemy, sześćdziesiętą rocznicę dnia wstąpienia na tron. Stało się to dnia 20-go Czerwca 1837.

Niewielu ludzi dożyje lat sześćdziesięciu; a nigdy się może nie zdarzyło, aby który z monarchów świata sześćdziesiąt lat panował. To rzeczywiście nadzwyczajna rzecz.

Królowa angielska, imieniem Wiktorya urodziła się 24-go Maja 1819 jako jedyne dziecko księcia Kentu, który po swoim bracie, Wilhelmie IV, miał być dziedzicem tronu angielskiego. Lecz ojciec Wiktoryi umarł przed śmiercią króla Wilhelma, a na młodą jego córkę przeszło prawo do korony. Gdy król umarł, liczyła Wiktorya 18 lat.

Koronowano ją z wielką uroczystością 28 Czerwca 1838. Wkrótce potem wstąpiła królowa w związek małżeński z krewnym swoim, księciem sasko-kobursko-gotajskim, Albertem.

Na sprawy polityczne małżeństwo to nie wywarło bezpośrednio żadnego wpływu, gdyż książę Albert, choć mąż królowej, nie miał wcale udziału w rządach, które królowa sprawowała sama, stósując się ściśle do praw konstytucyjnych i pozostając im bardzo wierną przez cały czas swojego długiego panowania.

Królowa Wiktorya liczyła się zawsze z usposobieniem narodu, strzegąc godnie praw majestatu królewskiego. Nie łatwą to było rzeczą, bo właśnie podczas jej panowania sprawa socyalna w Anglii wielce palącą się stała a stan robotniczy dopomniał się praw obywatelskich. A nadto tak się w królestwie stósunki ułożyły, że dwie wielkie partye ciągle ze sobą o władzę walczyły, partya whigów i partya torysów. Z początku się zdawało, że królowa sprzyja whigom, lecz omylił się, kto sądził, że dla tego ta partya zawsze będzie u steru. Królowa Wiktorya umiała zawsze podporządkować swoje zdanie woli większości narodu. Przeto w Anglii bywa tak, że które ze stronnictw politycznych uzyska większość przy wyborach, to też daje krajowi ministrów i rządzi tak długo, jak długo ma większość za sobą. Dla tego to parlament w Anglii ma większe znaczenie, aniżeli parlament jakiegobądź innego państwa.

Pomimo, że w Anglii przeważny wpływ na sprawy państwa mają posłowie przez ministrów, królowa Wiktorya nie zrzekła się troski o dobro królestwa, owszem z wielką pilnością zajmowała się wszystkiem, co się w kraju działo. Do niedawnych czasów wszystkie depesze w sprawie polityki zagranicznej prze-

chodziły przez jej ręce. Teraz jeszcze mimo podeszłego wieku dzień w dzień każe sobie zdawać sprawę ze wszystkich spraw państwowych.

Małżonek królowej, książę Albert, zmarł w roku 1861. Królowa była w smutku niepocieszona i chcąc uczcić pamięć męża, wydała książkę pod tytułem: Życie księcia małżonka.

Z małżeństwa tego urodziło się dziewięcioro dzieci. Najstarsza córka wyszła za księcia Fryderyka pruskiego, późniejszego cesarza niemieckiego i jest matką dzisiejszego cesarza niemieckiego Wilhelma II. Drugiem dzieckiem był syn Albert Edward, książę Walii, który po śmierci matki wstąpi na tron angielski.

Królowa Wiktorya jest ewangieliczką, lecz pod jej rządami wszystkie religie doznawają zupełnej wolności. Dla tego też katolicyzm bardzo się w Anglii w ostatnich czasach rozszerzył. Opowiadają sobie nawet, że królowa Wiktorya samą ma być katoliczką i tylko ze względów politycznych zachowuje to w tajemnicy.

DOSKONAŁE LEKARSTWO.

(Ciąg dalszy.)

Zuch ucieszył się szczerze, bo do robienia interesów, a dobrych, był jedyny, więc z nowym znajomym puścił się w drogę ku domowi, gawędząc wesoło i zataczając się sporo. Dobrze już było z południa, gdy przybyli do Kamionki, minęli wieś, gdzie się ze zdumieniem młynarzowi przyglądano, i nareszcie stanęli w zagrodzie Mateusza.

Tereska ujrzawszy męża w stanie, w jakim go nigdy jeszcze dotąd nietylko ona, ale cała parafia nie widziała, przelękła się nieżartem. Ponieważ jednak była z niej niewiasta energiczna i odważna, wnet się opamiętała i szepnęła sobie w duszy:

— O, braciszku, tak ty to potrafisz? Trzeba jeno zaraz zmyć ci należycie głowę, abyś zaś częściej tak się nie uczęstował.

Z nasrożywszy minę, udawszy wielce zagniewaną, wzięła się poczciwa Tereska do onego mycia głowy mężowi. Krzyczała więc, co jeno miała w piersiach głosu, robiąc mężowi straszne wyrzuty, lamentowała i udawała płacz, załamywała ręce i wyzywała męża od ostatniego łajdaka, który powinien był ze wstydu przepaść się pod ziemię.

Mateusz był z natury gorączka okrutny, ale tak zawsze nad sobą panował, że nigdy nie wybuchnął gniewem, który mu nieraz harczał w piersiach. Lecz po pijanemu nie umiał się hamować. Z razu przecież uśmiechał się i łagodził Tereskę dowcipami; ale te rożdraźniły tylko kobietę i nowy potok wyrzutów, jeszcze srozszych wywołały na jej usta; a gdy jeszcze handlarz złośliwemi półsłówkami jął prześmiewać młynarza, że żonka nad nim rej wodzie, zdawało się nagle, iż się Mateusz wściekł, taka szalona złość go opanowała.

Byłby się rzucił na Tereskę, gdyby go przerażony handlarz nie był przytrzymał, chwyciwszy ze wszystkich sił w pas. Tereska stanęła jak słup, a Mateusz wyrywając się handlarzowi, ryknął w największej pasyi:

— Milcz, przeklęta babo, bo cię jak robaka zgniotę! Cóżem to twój parobek? Czy cię mam prosić o pozwolenie, jak chcę wypić za moje trzy grosze?

Młynarka uderzyła teraz na prawdę w płacz, lamentowała, załamując ręce z prawdziwej już rozpaczy, podczas gdy mąż, ciągniony przez handlarza, trzasnął z gniewem drzwiami i poszedł ze swym gościem do młyna. Pokazawszy zaś handlarzowi mąkę, udał się z nim do karczmy w Kamionce, gdzie pił do północka na złość żonie.

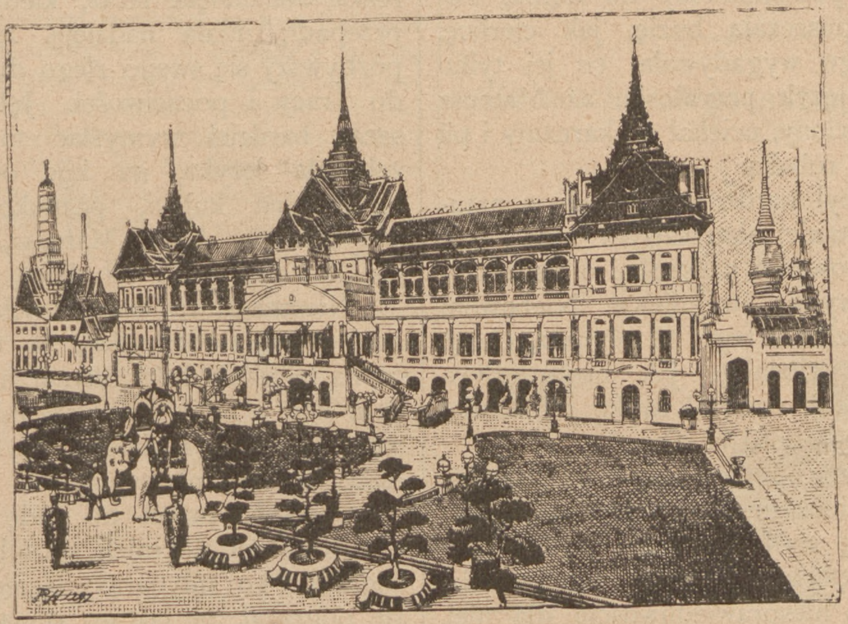
— Ja jej dopiero pokażę, co mnie wolno! — powtarzał raz po raz wśród

picia. — Ja ją nauczę, co to jest chcieć nad mężem rej wodzić.

Handlarz potakiwał mu i zręcznie jeszcze więcej jątrzał, a podburzał przeciw żonie; przebiegły, bezsumienny ten człowiek miał w tem swoje zamiary.

Zuch dopiero po północy wrócił do domu, spity, jak nieboże stworzenie, w sercu zagniewany na Tereskę, która przez całą noc oka nie zmrużyła. Ale myliłby się, ktoby myślał, że może płakała; wcale nie! Układała sobie długie, siarczyste, ogniste kazanie, przeplatane najdosadniejszemi wyzwiskami, które następnego dnia duch kręcił się ciągle około młynarza, pijąc za jego pieniądze i ogrywając niebacznego w karty.

Ludzie wydziwić się nie mogli, co się z Mateuszem stało, jak on, nieznoszący pijaków i hultai, sam się stał takim, nie pojmowali, aby człowiek prowadzący się całe życie przykładnie, pobożny i cnotliwy, mógł upaść tak nisko, stać się zgorszeniem całej parafii, pośmiewiskiem wszystkich. Szukano na wszystkie strony przyczyny takiego bezprzykładnego nieszczęścia i znaleziono ją w handlarzu mąki; on to, zdaniem wszy-



Pałac króla siamskiego w stolicy Bangkok.

rano postanowiła mężowi powiedzieć. I jako też powiedziała.

Tak się zaczęło nieszczęście Zuchów, tej kochającej się pary, która miała być drugą parą gruchających gołąbków w Kamionce.

Trudno uwierzyć, a przecie to szczera prawda, że w rok później był już z Mateusza nałogowy pijak i karciarz, klątewnik, próżniak i marnotrawca, który dzień cały i kawał nocy przesiadywał w szynkowni w miasteczku, lub w karczmie w Kamionce. A zawsze w towarzystwie owego handlarza mąki, łotra z pod ciemnej gwiazdy, który jak zły

stkich był winien upadkowi młynarza; byli też tacy, którzy na pewne twierdzili, że zły ten człowiek oczarował Mateusza, aby go złupić z majątku.

Tereska łamiąc ręce i wyrywając sobie włosy, sądziła tak samo, jak ludzie; nazywała handlarza rozbójnikiem, mordercą swej doli, złodziejem swego majątku. Miała ona słuszność myśląc tak, ale nie zupełną; bo jakkolwiek handlarz był pierwszą przyczyną upicia się młynarza i jego kłótni z żoną, a następnie podtrzymywał go w nałogu i zachęcał do pijaństwa i karciarstwa, to przecież niemniejsza wina była po stronie młynarki.

Tymczasem, ani przez myśl nie przeszło niebodze, że ona sama właśnie tyle była winna swojemu nieszczęściu, co handlarz, a może nawet jeszcze więcej. Gdyby nie była, gdy mąż się pierwszy raz upił, wszczynała kłótni i krzykami swojemi wygnała go z domu do karczmy, byłoby się prawdopodobnie skończyło na jednem upiciu. Lecz niebacznej kobiecie zdawało się, że wyzwiskami, łajaniem i krzykiem nawróci pijaka; nie dawała więc mężowi spokoju ni we dnie, ni w nocy, pijany, czy trzeźwy słuchać musiał bez ustanku wyrzutów i skarg najboleśniejszych. Ily razy mąż przyszedł podchmielony do domu, Tereska rozpuszczała buzię, jak cierlicę, i tak długo wygadywała, co jej tylko ślina na język przyniosła, aż Mateusz zniecierpliwiony, uciekał do karczmy i pił na zalanie robaka.

Zuch był bardzo gwałtowny z natury, a w stanie nietrzeźwym mowy nie było o panowaniu nad sobą, o powstrzymywaniu wybuchów gniewu. Niebawem więc przyszło do tego, że młynarz, chcąc poskromić złośnicę, jak nieszczęśliwą żonę nazywał, chwytał za kij i obkładał nim bez miłosierdzia Tereskę.

Biedaczce serce pękało z boleści, nad upadkiem męża, do którego przywiązała się serdecznie w czasie pierwszych szczęśliwych miesięcy ich pożycia, i nad jego niesprawiedliwością dla niej. Boć ona jeżeli klęła i wyzywała, to nie dla tego, aby mężowi dokuczyć, lecz żeby go ze złej drogi sprowadzić i zapobiedz ruinie majątku.

Wskutek pijaństwa, karciarstwa i próżniactwa Zucha interesa jego majątkowe w opłakanym były stanie. Mateusz stracił już wszelką gotówkę, jaką posiadał, oraz posag Tereski, który mu rodzice jej bez zastrzeżeń oddali, znając jego uczciwość i gospodarność. Nareszcie zaczął Zuch zaciągać długi na dom i rolę; łatwo było przewidzieć na czem się to picie i granie w karty skończy; jeszcze lat kilka podobnego marnotrawstwa, a bogaty młynarz musi iść z torbami. Ruinę ostateczną odwłóczyła tylko usilna praca Tereski i zapobiegliwość jej, oraz sumienność i pilność czeladnika starszego, który miał młyn pod swoim zarządem.

Trzy lata już minęły od pierwszej znajomości młynarza z handlarzem mąki, gdy ten nagle znikł z miasteczka i przepadł tak, jakby we wodę wskoczył. Ludzkie oko w miasteczku i Kamionce nie ujrzało już nigdy niegodziwca, ale niebawem pokazało się, że handlarz narobił ogromnie wiele długów, nakrzywdził co niemiara biednych ludzi, lecz najwięcej zarwał swego, wiernego przyjaciela i nieodstępnego towarzysza Zucha.

Mimo tej bardzo wielkiej straty, Tereska odetchnęła teraz, kiedy handlarz przepadł; miała nadzieję, że młynarz, pozbywszy się swego złego ducha, wróci do pracy i poczciwości. Jęła więc jeszcze bardziej wymyślać mężowi, nie żałowała języka, na kije odpowiadała miotłą, na kułaki, paznokciami, lecz wszystko napróżno; Mateusz, tak samo jak dawniej, pił i bił dzień przy dniu.

Nieszczęśliwa kobieta jęła więc łamać głowę i rozmyślać, co teraz przyczyną tej wściekłości młynarza, a jej niedoli, boć przecie handlarza już nie było, więc nie on był winien. Myślała i myślała, lecz nic nie wymyśliła.

Chodziła nawet po radę do rodziców, ale i oni nie mieli sposobu na rozłajdaczonego młynarza; ojciec jeno mu się odgrażał, że jak go dopadnie gdzie w cztery oczy, to mu kości połamie na drobne kawałki i wszystkie włosy ze łba wydrze; lecz Tereska znowu tego nie chciała, więc prosiła, aby go ojciec zaniechał. Matka zaś tylko płakała nad niedolą córki, ale przyznała jej, iż nie może pozwolić, aby zagniewany ojciec przetrącił jej męża i z włosów go oskubał, niby oparzonego kapłona z pierza.

Nie zyskawszy nic u rodziców, tylko nabawiwszy się o swego małżonka nowej trwogi, udała się biedna Tereska następnie po radę do mądrych i owczarzy. Ci i te wyrzekli jednozgodnie, że nic innego, jak młynarz oczarowany; za drogie pieniądze dawali młynarce różne leki i rady, lecz niestety nic nie skutkowało.

Nieszczęśliwa żona Mateusza była przecież nie zmordowaną; jak tylko usłyszała o jakiej mądrej, nawiedzonej lub opętanej, jechała do niej w te pędy, choćby a mil dziesięć, i choćby za dziesięć dukatów, błagała o ratunek dla swego męża hultaja.

Raz nawet trafiła na bardzo znającą się znachorkę, która oświadczyła rozpaczającej młynarce, że to pewna dziewczyna, która miała oko na młynarza, gdy jeszcze był kawalerem, zadała mu ze zazdrości ku młynarce taką ciężką chorobę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Harce,** rodzaj pojedynków przed bitwą, w powszechnym były zwyczaju, a historya prawie każdej bitwy wspomina o wyzywaniu się harcowników na rękę. Tak w r. 1410 pod Koronowem przed zaczęciem walnej bitwy, Konrad Niemczyc, wyjechał na harc z szyków krzyżackich, okuty wraz z koniem w bogatą zbroję i harcując wyzywał po niemiecku a potem po polsku wojowników naszych. Wtedy z szyków rycerstwa polskiego wyskoczył z kopią ku niemu Jan Scycicki a złożywszy się drzewcem, zwalił z konia zuchwałego krzyżaka i pojmał żywcem. Waleczny Jan Tarnowski w walnej bitwie pod Orszą, w pełnej zbroi wyjechał na harc, wyzywając nieprzyjaciół sam na sam do walki. Stanisław Stadnicki, pan na Łańcucie, zwany Dyabłem, pod Gdańskiem za Stefana Batorego, gdy Niemców na harc wywabiał, każdego prawie, który wystąpić się poważył, ubił, poczem mu żaden pola stawić nie śmiał. Kacper Lipski, kasztelan rawski, w harcu pod Cecorą, zdjąwszy jednego Turka z konia, na kopii go przed hetmana Żółkiewskiego przyniósł. Polacy mieli sławę najpierwszych w świecie harcowników. Nieraz najdzielniejsi z rycerstwa przepasawszy się przez piersi na ukos czerwonymi nałęczami (ręcznikami), przed bitwą rzucali się w kilkadziesiąt koni w środek nieprzyjacielskiego obozu i sprawiali popłoch w tysiącach. Zwano takich elearami. Ksiądz Dębowski, kapelan słynnych Lisowczyków, napisał o tychże dziełko: »Przewagi Elearów polskich«.

FRASZKI.

* **Także zajęcie.** — Co pański syn robi?
— Długi...
— A pan?
— Ja je płacę.
— Więc macie obaj panowie zajęcie...
— Naturalnie, ja nawet hypoteczne...

* **Angielskie oświadczyny.** Anglik (za wejściem do sklepu spostrzega piękną sprzedającą): Kto jest ta piękna dama?

Kupiec: Moja córka.

Anglik: Proszę pana o atrament, papier, pióra i o rękę pańskiej córki.

* **Rzadkie zjawisko.** — Czy widziałeś kiedy towarzystwo kobiet, w którem by panowało choć chwilowe milczenie?
— Raz tylko. Ktoś zapytał która z nich najstarsza.

* **Mężu,** potrzeba mi jeszcze pieniędzy.
— Kobieto, a zkądże ja ich wezmę! Na co ci potrzeba?
— Na bakalie, orzechy...
— Orzechy? Jeszcze czego!.. I tak mam w ciągłych twoich żądaniach twardy orzech do zgryzienia.

Co mucha złego nabroić może.

1.



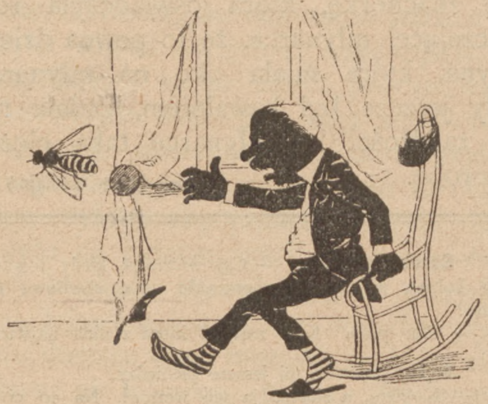
Pan Jacenty śpi po obiedzie, gdy wtem oknem wlatuje osa.

2.



Polatawszy po pokoju, siada na potężnym nosie Jacentego.

3.



Zrywa się Jacenty ze snu i dalej gonić osę.

4.



Już ją ma przy drzwiach, już, już....

5.



Wtem drzwi się otwierają, osa wylatuje, p. Jacenty uderza — w twarz wchodzącą gospodynią, która wnosi mu kawę.

6.



»Czego pan sobie pozwala« — krzyczy gospodyni i grozi pieściami p. Jacentemu.

7.



Wkrótce potem przychodzi gospodyni z mężem i żądają wynagrodzenia szkody.

8.



Gdy zaś p. Jacenty płacić nie chce, wyganiają go z domu.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 24-go Czerwca 1897. Nr. 25.

„Swiatło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Dawni królowie na Zamku Krakowskim.

Podanie ludowe.

Smutny dziś stoi Kraków stary i ni tam dworscy ludzie na Krakowskim Zamku się uwijają, ni tam wieczorem świecą się rzęsiste światła w zamku królewskim, ni na rynku ujrzysz zbrojnego rycerza, hetmana na dzielnym koniu, sędziwego senatora. Śpią w grobach dawni królowie polscy, hetmani, rycerze i senatorowie, a stary Kraków smutny stoi.

W zamku krakowskim wiatr oknami świszcze i żałośnie jęczy po komnatach królewskich. Ale tam gdzieś głęboko pod zamkiem, tam gdzieś pod najgłębszem sklepieniem, jest jeszcze drugi gród podziemny, niby drugi zamek królewski. Gród ten podziemny nie taki cichy, nie taki smutny, nie taki głuchy i grobowy, jak ten gród nad ziemią, co go ludzie widzą; ale tamten gród w głębinach pod zamkiem jasny, wesoły, a tak wspaniały, bogaty i strojny, jak ten nad ziemią niegdyś był.

W onym podziemnym grodzie jest wielka świetlica, duża jak kościół. A na ścianach tej świetlicy wiszą stare zbroje, tarcze, szable i chorągwie. W środku świetlicy stoi wielki stół, a za tym stołem siedzą wszyscy dawni królowie, siedzą w szatach strojnych, jakby na tronie w dzień koronacyi swojej. Siedzi za stołem ojciec królów polskich, siedzi w złotej koronie sędziwy Bolesław Chrobry ze szczerbcem swym w dłoni; siedzą wszystkie Mieczysławy, Bolesławy, Kazimierze, Władysławy, Jagiellończykowie, Zygmunty, Batory, Wazowie i Augustowie; siedzi między królami za stołem piękna młoda królowa Jadwiga, w złotych szatach i drogich perłach. Co tam w tym podziemnym grodzie ci królowie robią? nad czem radzą?

Tylko raz w rok, o samej północy, słyszą ludzie głuchy, podziemny huk z dział i moździerzy, rżenie koni, trąby i wrzawę, a wtedy jeden z królów, pono on stary ojciec Bolesław zwany Chrobrym, wychodzi z podziemnego głębokiego grodu i rusza żelaznym krokiem przez duże dziedzińce zamkowe, a na ramieniu świeci mu szczerbiec, niby miecz anioła. Gdy się kto z ludzi śmiertelnych z nim spotka, a dobry człowiek, wtedy zobaczy króla ojca Chrobrego i w sercu zrobi mu się lekko i wdzięcznie; lecz gdy jest zły człowiek, to Wielkiego Bolesława nie zobaczy, w mózgu mu się zakręci i padnie na ziemię. Tak więc pod zamkiem krakowskim, w podziemnym głębokim grodzie, w onej dużej świetlicy jasnej, ozdobionej zbrojami, tarczami, staremi szablami i chorągwiami, żyją dawno zmarli na ziemi polskiej królowie. Tak o tem

prawią górale i krakowiacy przy wieczornych pogadankach.

Jest to podanie ludu, jest to piękna baśń dzieci, ale pokazuje, że pamięta jeszcze lud dawnych królów swoich, że chociaż dawno pomarli królowie polscy i cicho spoczywają w zimnych grobach krakowskich, to jednak nie pomarli, lecz żyją w pamięci wdzięcznego narodu.

Co robić gdy psy napadną?

Bolesław Prus opowiada przygodę pewnego inżyniera.

Był on na robotach w jednem z miast nad Wołgą i późno wracał do domu. Szedł zwolna między parkanami, zachwycając się piękną nocą księżycową. Nagle, z bocznej uliczki wypadła na niego z wyciem i szczekaniem cała banda psów zdziczałych.

— Ile ich mogło być? — zapytałem.

— Czy ja wiem, — odparł inżynier — może 60, a może 80...

— Struchlałem — mówił dalej. — Znalazłszy w parkanie pogiętą i zardzewiałą rączkę dzwonka, począłem za nią szarpać. Lecz nacierany przez psy, musiałem się opędzać kijem. Potem wydobyłem z kieszeni rewolwer małego kalibru i pomyślałem: Skaleczę sześciu, sześciu innym przetrącę kości laską, ale reszta za to, zagryzie mnie. Wtem od strony rzeki, usłyszałem śpiew jakiegoś późno wracającego pijaczyny. Zacząłem wołać. W końcu ulicy ukazał się wołżański rybak. Szedł w surducie, rzuconym na ramiona i zataczał się niemiłosiernie.

— Nie bój się pan! — wołał — damy im radę!

To powiedziawszy usiadł w kuczki, zdjął czapkę, wziął ją w zęby za daszek i w tej pozycyi, milcząc zaczął podskakiwać do zgrai psów. Wyglądał jak potworna ropucha, której jeszcze dziwaczniejszą postać nadawał, kiwając się z czapką w zębach. Psy zaczęły się przypatrywać podskakującemu czupiradłu i nagle... uciekły pędem, całą gromadą!

Rozumie się — zakończył inżynier że gorąco podziękowałem rybakowi, którego zdziwiła nie tylko moja hojność, ile nieumiejętność poradzenia sobie w tak prostym wypadku.

Naturalnie w tem miejscu nastręcza się pytanie: czy złe psy z okolic innych równie łatwo ustąpiłyby przed skaczącym cudakiem, jak zdziczałe psy nadwołżańskie? W każdym razie, kochany ziomku, którego psy napadną, zanim dasz się zagryść, weź w zęby czapkę, usiądź w kuczki i udawaj skaczącą ropuchę. A gdy sposób okaże się skutecznym, ogłoś w gazetach, ażeby inni rodacy mieli z tego pożytek.

BUŁAWA.

Wyraz to pochodzenia tatarskiego, oznacza w języku polskim maczugę, laskę niedługą z gałką na końcu, symbol godności, władzy hetmańskiej. Jak buław mogli używać tylko hetmani, tak wyłącznie regimentarze, pułkownicy, rotmistrze, porucznicy i chorążowie używali buzdyganów. Pomiędzy buławą a buzdygańem ta zachodziła różnica, że gałka u buławy bywała zwykle okrągła, niekiedy misternie ozdabiana i drogimi kamieniami wysadzana, zaś buzdygany, także często srebrne lub pozłociste, kończyły się gałką kształtu gruszki, podłużnie pokarbowanej. Karby te czy liście buzdyganu zwały się piórami, których zwykle było 6—8 (od gruszkowatego kształtu gałki nazywali Turcy gruszki konkrety buzdygan-armadu, czyli gruszka-maczuga). Jak urząd kanclerski nazywali Polacy pieczęcią, marszałkowski laską, tak hetmański buławą. Buławić, znaczyło hetmanić, przywodzić wojsku. Buława wielka oznaczała urząd wielkiego hetmana, buława mniejsza czyli polna, urząd hetmana polnego. Buławy hetmańskie przechowują się dotąd jako drogocenne pamiątki w możniejszych domach polskich, w muzeach szwedzkich, zabrane z Polski podczas wojen. Niektórzy hetmani składali je jako wota przy cudownych obrazach. Tak Marcin Kalinowski, hetman polny koronny, powróciwszy w roku 1651 z niewoli kozackiej, buławę drogiemi kamieniami sadzoną przy obrazie Najśw. Panny jasnogórskiej zawiesił. Wielka złocista buława turkusami sadzona złożoną tamże została przez Stanisława Potockiego, przezwanego Rewerą, hetmana w. kor. Królowie polscy dla okazania swej łaski zwierzchniczej posyłali buławy w darze hetmanom Ukrainy. Tak Batory posłał Bogdanowi buławę z buńczukiem i chorągwią, Zygmunt III Konaszewiczowi Sahajdacznemu, Michał Korybut Michałowi Hanence. Miasta polskie osiadłe na prawie magdeburskiem, otrzymywały buławy sprawiedli-

wości. Starsi i mistrze w cechach rzemieślniczych, noszą podczas uroczystych procesyi buzdygany. »Sławetne zgromadzenie kupców miasta Warszawy« posiada 2 takie odznaki. W okolicach zamieszkanych przez drobną szlachtę, wybierany przez nią porucznik, który w czasie pospolitego ruszenia drużyną miejscową dowodził, gdy chciał zebrać sąsiadów na naradę, posyłał swój buzdygan do najbliższego szlachcica z zapowiedzią miejsca i czasu zebrania, ten znowu odsyłał natychmiast sąsiadowi, a tak buzdygan okrążywszy okolice, jako widomy znak rozkazu i symbol kary na nieposłusznych, powracał do porucznika. Zupełnie w podobny sposób, który jest pomnikiem starożytnych polsko-słowiańskich wici, zwołują się górale polscy obesłaniem laski sołtyskiej lub wójtowskiej, którą kładąc w każdym domu na stole, woła przynoszący naprzykład: »Dziś o północku wielka gromada!

Praktyczne rady.

— **Piłowanie szkła.** Chcąc, aby naczynie szklane dało się piłować tak, aby nie potrzeba obawiać się o jego uszkodzenie, dosyć jest właściwie przygotować do tego pilnik. Pilnik zwyczajny zanurza się w silnym rozczynie sody źrącej i w stanie mokrym kładzie się go w gruboziarnisty piasek. Piasek wraz z sodą utworzy powłokę, która przyczyni się podczas piłowania szkła do równomiernego zbierania tegoż, nie pozwalając na odpryskiwanie.

— **Z obrazów plamy od owocu lub wina** smaruje się dopóki jeszcze są mokre, masłem albo łojem i potem się wypierze. Lecz jeżeli już są suche, to się zapierze takowe najpierw w żytniej okowicie (Kronbrantwein) a potem w wodzie mydlanej.

— **Plamy od farby** pokostowej wywabia się terpentyną.

Rozmaitości.

* **Muśliny indyjskie.** Muśliny indyjskie, ręką przędzone, są o wiele trwalsze, niż europejskie maszynowe. Wiadomo, że muślin maszynowy nie jest trwały i ledwie kilkurazowe wy pranie wytrzyma, gdy tymczasem indyjskie muśliny są rzeczywiście materyałem trwałym i prać się dadzą wybornie. Niteczki na ten materyał tak cieniutko się przędą, że nawet powietrze przy przędzeniu musi być stósowne. Dziewczęta indyjskie nie mogą z kołowrotkiem tak jak dawniej nasze prządki wieczorami gromadzić się do przędzenia w izbach, lecz muszą korzystać z najrychlejszych poranków przed wschodem słońca, gdy powietrze jeszcze przesiękłe wilgocią rosy. Gdy się wie o tej mozolnej fabrykacyi, to prawie by można uwierzyć opowiadaniu posła perskiego, że gdy powracał z Indyi, przywiózł szachowi turban długi 66 metrów w łupinie orzecha kokosowego, wielkości jaja strusiego. Nie mniej prawdopodobnem jest opowiadanie o krowie która ogromny kawał muślinu takiego, który na łące był rozłożony dla wybielenia, zlizała, myśląc że to jest rosa. Jeden gatunek muślinu. nazywają też: »rosą wieczorną«

* **Zemsta sowy.** P. Herman Kościa ogłasza: W dniu 16-go Maja br. w miasteczku Brańsku gubernii grodzieńskiej, między godz. 9 a 10 wieczorem w noc księżycową przechodziłem koło cmentarza kościelnego, okolonego staremi drzewami, dążąc do probostwa, gdy w tem koło furty kościelnej uczułem gwałtowne uderzenie w głowę tak, że wydawszy okrzyk: »Co to jest!?« — o mało nie upadłem. Chwyciłem się za głowę, kapelusza nie było, ból tylko silny czułem i krew po twarzy mi płynęła. Szukałem kapelusza napróżno i koło siebie nikogo nie spostrzegłem. Sądząc, że może z poza muru ktoś rzucił kamień, lub uderzył mnie przez furtę, wszedłem na cmentarz, ale i tam nikogo nie było. Na mój krzyk nadbiegł ktoś ze służby probostwa. A kiedy opowiedziałem mu o wypadku, odparł:

— To sowa rzuca się na ludzi, gdyż wybrano jej z gniazda młode.

Na probostwie obmyto mi głowę z krwi, ból jednak czułem silny, a wezwany lekarz dostrzegł na głowie kilka zadraśnień pazurami i jedno dłuższe i głębsze. Obecni na probostwie panowie, nie wierząc memu opowiadaniu, wybiegli, lecz wróciwszy po chwili oświadczyli, że sowa i na nich się rzucała, i przynieśli małe sowiątko, znalezione na ziemi blizko miejsca napadu. Starą sowę po kilku wystrzałach zabito, a sowiątko wyrzucono do ogrodu. Na drugi dzień kapelusz odnaleziono w ogrodzie o kilka set kroków od miejca, gdzie był zdarty, druga zaś sowa pisklę swe odprowadziła w odleglejszy kąt ogrodu, znosząc mu pożywienie t. j. myszy. Następnie zabito małe sowiątko, aby sowa znów nie rzuciła się na kogo. Sowa ujrzawszy zabite pisklę, zaczęła piszczeć, wydawała jęki i formalnie płakała.

Liczę lat 74, lecz ani ja, ani inni, którzy to słyszeli, nie pamiętają podobnego zdarzenia. — Niech więc będzie to przestrogą, że i biednym ptakom nie należy czynić krzywdy; zemsta ich mogła mieć fatalne, mianowicie dla oczu, skutki.

* **Nasilniejszy łańcuch,** jaki dotąd był wogóle wyrobiony, wyszedł z fabryki Parkes i Sp. w Tripton w Anglii. Łańcuch ten przeznaczony dla okrętowych doków w Chathain, składa się, jak zwykle, z owalnych ogniw, które w tym razie zostały wykute z 3 pół calowego żelaza, a każde z tych ogniw ma długości 50 cm. przy 34 cm. szerokości. Wytrzymałość łańcucha wypróbowano obciążeniem do 4000 podwójnych centn.

* **Dochody monarchów.** W rzędzie panujących, jednym z

najbogatszych jest sułtan. Posiada on olbrzymią fortunę osobistą a nadto otrzymuje od państwa 20 milionów frank.; jego posiadłości ziemskie przynoszą mu drugie tyle. Przywódzca »Wiernych« ma najliczniejszy dwór na świece: 5000 domowników żyje na koszt jego. Wilhelm II otrzymuje z listy cywilnej 20 milionów. Cesarz austryacki 25 milionów. Król włoski 7,550,000: część tego idzie na utrzymanie krewnych. Lista cesarza japońskiego wynosi 20 milionów, ale wobec taniości, panującej w Japonii, suma ta może w stósunku do cen europejskich być obliczoną na 80 milionów. Szach perski posiada fortunę osobistą wysokości 150 milionów; oprócz procentu od tego olbrzymiego kapitału, pobiera ze skarbu 12 milionów rocznie. Lista cywilna królowej angielskiej równa się 10 milionom, króla portugalskiego 1 mil. 300 tysięcy, króla greckiego takiejże sumie, (z tego 1 milion wypłaca mu skarb grecki, resztę Anglia, Francya i Rosya). Prezydent republiki francuskiej pobiera 6,000,000 pensyi, 300,00 na utrzymanie domu i 300,000 na koszta podróży i reprezentacyjne. Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej otrzymuje 250,000, zaś prezydent konfederacyi szwajcarskiej nie więcej jak 12,500. (Wszystko obliczone na franki).

ZAGADKI.

1.

A	1					
B		2				
C			3			
D				4		
E					5	
F						6

W sześciu rzędach oznaczonych literami: A, B, C, D, E, F. ułożyć w każdym po wyrazie sześciozgłoskowym, w którychby litery wskazane przez cyfry od 1 do 6 włącznie, składały nazwę stolicy królestwa w Europie.

Sylaby: na-A-wik-li-rat-O-żyk-be-na-Lud-ra-li-Czy-Ka-Ma-rek.

Znaczenie wyrazów: A. Jagoda. B. Drzewo. C. Imię męzkie. D. Taniec. E. Ptak. F. Góra w Azyi.

2.

Wyrazów 16. Początkowe i końcowe litery, połączone spójnikiem i, składają imiona i przydomki dwóch królów.

Sylaby: Ła-kól-job-bia-yan-sie-tów-cal-au-nes-maj-ro-wiec-der-gus-eb-so-cho-do-ty-sta-zor-zü-groch-chor-y-bu-ro-na-psy-no-u-lan-cho-na-dieb.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwa miesiąca 2. Prorok z historyi biblijnej. 3. Rzeka w Hiszpanii. 4. Miara. 5. Zatoka. w Niederlandach. 6 Inaczej amerykanin. 7. Ptak. 8. Dawna nazwa Elby. 9. Miasto powiatowe w gubernii Suwalskiej. 10. Dawna nazwa sejmu. 11. Roślina strączkowa jadalna. 12. Król Babiloński. 13. Jeden z członków. 14. Miasto w Czernichowskiej gubernii. 15. Brat Abrahama. 16. Rodzina Grecka.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23:

1.

OJCZYZNA.

2.

L
S E N
K A N I A
S U M A T R A
K A R O L
S T O
K O N
E W A
O L I M P
G R A C Y A N
K A M C Z A T K A

Dobre rozwiązanie obu zagadek nadesłał p. Józef Knopp z Zabrza.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.